

Wyrzut sumienia.

— A jednym prawem bytu, — zakończył swe wywody Montague, — jest pełnie nie swego obowiązku — obowiązku w całej rozciągłości!

— O ile się jest jego świadomym, — szepnął Sernaise. — Żałuję, że nie było na przy mnie, by mi go wskazać owego jasnego dnia w październiku, gdy pędziłem na swoim „torpedo“, zdunzony świeżością jesiennego powietrza! Od owej chwili upłynęło lat dwadzieścia.

Jechałem nowem autem i zamierzałem pędzić do Nantes. W Nantes miałem zjeść obiad, a potem odbyć drogę powrotną dla spółkanki żony, która dnia tego wracała z podróży. Piękny to był dzień. Pędziłem, podziłem przed siebie, z tem pragnieniem owego „potem“, które dodaje uroku niebezpieczeństwu i budzi żądze rzeczy nieznanych.

Rzeczy nieznanne pojawiały się na moście Suresnes, pod brzoźową czapeczką, w ciemurze złotych włosów. Gdy opuszczałem rogatki, z tej uroczej zawieruchy złotych kędziarów wyłonił się jasny głos:

— No, a my, posze pana!

„My“ były to przedewszystkiem złote włosy i rozśmiane oczy eleganckiej postaci młodego dziewczęcia z Montmartre. A przy niej — przyjaciółka. Okie rozpromienione w blaskach dnia jesiennego i upojone powietrzem. Tyle prostoty i świeżości ujęło mnie.

— Aż dwie? — zawołałem. — To niemożliwe. Są tylko dwa milejśca!

— A więc?

— Wsiadaj, moja droga!

— Nie, wsiadaj ty!

— Co znów? To ty przecie zaczęłaś pana!

Wkońcu wsiadła do mnie brzoźowa czapeczką. Rozstanie nastąpiło pośpiesznie.

Było to porwanie, w najbardziej spontanicznej, najbardziej nieoczekiwanej formie. Byłem zachwycony — zapewniała pana — że tej małej zrobić mogłem niewinną przyjemność. Nie przyszła mi żadna myśl brudna... Och! wiem, byłem już żonaty.

Wieczorem powrócimy i z tej eskapady pozostanie tylko miłe wspomnienie — tak sądziłem.

Pędząc wzdłuż rzeki, mijaliśmy jedną wieś za drugą. Wkońcu przybyliśmy do Juziers. Miejscowość przypadła nam do gustu i postanowiliśmy tutaj zjeść obiad.

Piliśmy portwina, wioskowaliśmy. Godziny mknęły. A gdy moja nieznajoma próbowała sztuki wiosłowania, podziwiałem z przyjemnością harmoniję jej ruchów.

W owej chwili, oczywiście, świadomy byłem swego obowiązku: wiedziałem, że powinienem być w domu z myślą o żonie. Byłem odtąd tego daleki.

Towarzyszka moja nabrała zaufania do mnie. W drodze mówiliśmy mało. Przy stole dowiedziałem się, że niedawno przyjechała do Paryża w poszukiwaniu pracy. Mieszkała sama. Czulem, że jest odważna

i dobra i nie wie o mnie, jednak z przyjemnością słuchałem, jak odświeżała mi swe serce. Czem wówczas byłem dla niej? Więcej niż przechodniem, niemal przyjacielem — — — W tem wzajemnem, przecieknem zbliżeniu naszym oboje szukaliśmy wrażeń nowego, przemijającego życia i próżno byłoby się wyrzec jego krótkiej sło dyczy.

Lubowaliśmy się w tych uczuciach, spędzając w małym łasku wpcblizu oberży. Nieznajoma marzycielka cpała się o moje ramie. Potrochu zapominałem o wiszystkiem poza tem drobnem, wątkiem, upajającym stworzeniem — — — Gdy usta me dotknęły jej ust, uległa mi z prostotą, w zupełnej harmoniji naszego pragnienia i naszej młodości.

.....Dookoła nas panowała cisza. Jedynie bicie mego serca wyrwało mnie z nirwany. Tulilem do siebie wątki listoty, już tak mi droga... O czymże szepotałem ci? Że ta chwila stanowiła przewrót w mojem życiu, że należeć będziemy do siebie, póki śmierć nas nie rozłączy.... Cóż ci to mówiłem?... Nie odpowiadałaś mi... Czulem, jak ocieżało ciało twoje pociąga mnie ku ziemi, a ręce twoje zacisnęły się na mych ramionach...

Zaniepokojony jej milczeniem, mówiłem głośnie... Żadnej odpowiedzi... Szukałem na jej ustach namiętnej pieszczoty, która nas złączyła — i doznałem uczucia nieoczekiwano komplementu, rzeczy, która już nie odczuwała... Dotknąłem jej dłoni, próbując tętna, zbadałem serce... Nic. I wreszcie zrozumiałem, że stała się rzecz straszna, nieodwołalna...

„Krzychałem w mroku ze wiszystkich sił. Wołałem o pomoc. Wkrótce zoreago-wano na te wołania z oberży. A wówczas, widząc zbliżające się światła, nie wiem, co stało się ze mną... Tak jest — zląkłem się. W błyskawicznym momencie przyszła mi wizja skandalu — cały szereg policjantów — mer — żandarm — sędzia śledczy... Wszysko to błyskawicą prze-



Ekspedycja filmowa „Foxa“ w Polsce dla dokonywania zdjęć aktualności dźwiękowych.

mknęło mi przez umysł. Ujrzałem ruiny swego domowego ogniska i jedna tylko myśl marzycielka się mej brwi dze: uciec.

Oddaliłem się, uciekając w mroku — jak zabójca.

Uciekając mogłem zwrócić na siebie uwagę, lecz przypadek sprzyjał mi. W ciemnościach dotarłem do auta, pozostawionego na drodze i później dopiero zapaliłem je go iatarnie. Dojechałem do domu bez przeszkód. Jeszcze na progu, gdy ogarnął mnie spokój domowego zacisza, poczułem, jak wali się na moje ramiona ciężar wspomnień. Nie pozbyłem się go nigdy. Przeszedłem przez wiszystkie męki strachu prawdziwego zbrodniarza. Chociwile przeglądałem wiszystkie dzienniki, zamieszczające opis ponurego odkrycia i, ulegając jakiejś przemocy wewnętrznej, kilkakrotnie zwiędziłem tamte okolice, by zdaleka zobaczyć oberżę. Ciągnęła mnie ciekawość i lęk: ryzyko kompromitacji i wydania oraz pewność, że nie zostałem poznany.

Dziś nastąpiło uspokojenie. Robiąc przegląd własnego sumienia, nie dlałatego odczuwam wyrzuty, że uciekłem, ale dlatego, że memi szkodliwymi rękoma rozbiłem życie tej uroczej listoty i tych, co ją kochali...

Niekiedy staram się wzmówić w siebie, że nie zerwałem żadnych więzów, skoro nie znaleziono — mimo całego rozgłosu sprawy — żadnych krewnych, a nawet przyjaciółki, która jej dnia tego towarzyszyła.

Wydaje się, że byłem dla niej cudowną przygodą, jedynym drogim człowiekiem i ta listota, wydziedziczona w życiu, zabita przeze mnie, żyła tylko przeze mnie. Usiłuję upiększyć swą rolę niszcyciela. Staram się przypomnieć sobie jej szepł ostateczny, czerpać zeń pociechę, że umarła szczęśliwa.

Jeżeli tak było — jeżeli istotnie nie opłakiwał jej młk — a ja byłem dla niej w życiu jedynym, jeżeli wydała ostatecznie swe technenta w blasku triumfującego życia — powiedz mi pan, czyż nie była godna zadrości?

Tym I. M.



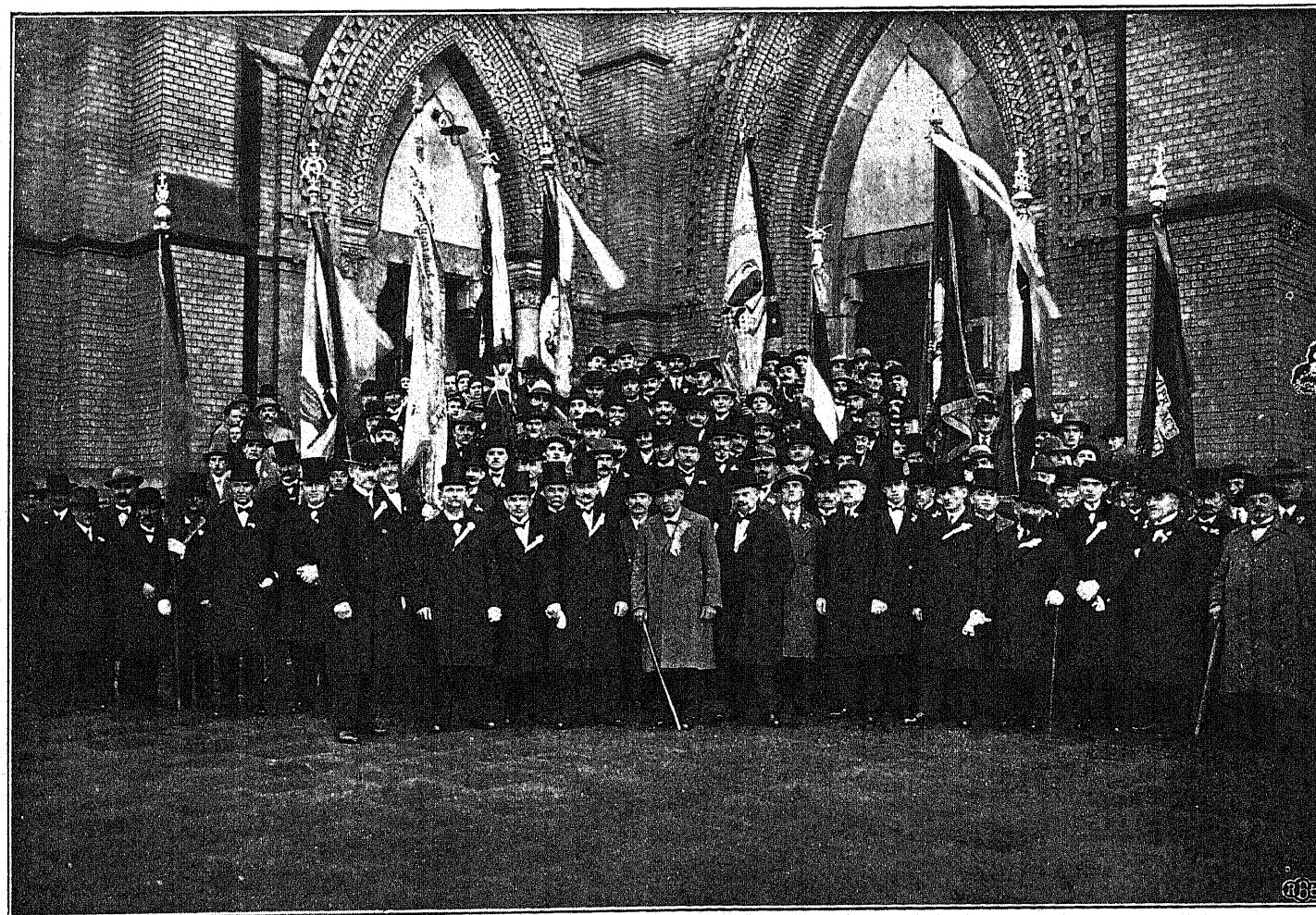
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 20 września 1931 roku.

Nr. 38.

50-lecie Zjednoczenia Gospody Czeladzi Tokarskich.



W ubiegłą niedzielę odbyła się w Łodzi uroczystość 50-ciolecia działalności Zjedno czenia Gospody Czeladzi Tokarskich, chludnie zaplananej w dziejach rozwoju rzemiosła łódzkiego. Obchód jubileuszowy rozpoczęto uroczystym nabożeństwem w Katedrze, celebrowanem przez J. E. ks. biskupa dr. Tymienieckiego. Na ilustracji naszej widzimy uczestników obchodu wraz z chorągwiemi cechowymi, na tle frontonu Katedry św. St. Kostki.

Fot. A. Meyer. Tel. 108-81

Lepszy słomiany pokój... „Błękitny Express”. Nowe pomysły konstrukcji teatralnej.

Dziesięć dni „wojny teatralnej”, połączonej z unieruchomieniem prawie wszystkich scen polskich, dowiodło niezbicie tej bynajmniej zresztą nie rewelacyjnej prawdy, że ani dyrektorzy bez aktorów, ani aktorzy bez dyrektorów (to znaczy: isal, dekoracji, rekwizytów i t. d.) istnieć nie mogą. Bezradziejnie wysiłki obydwu stron, by dać sobie jakoś radę improwizacją amatorami etc nie dały, bo dać nie mogły, pożądaných wyników. Dość szybko przyszło, po obu stronach „barykady” otrzeźwienie i zrozumienie konieczności zgody. To też w chwili, gdy to piszemy, przedwstępna punktacja umowy pomiędzy Z.A.S.P-em a Związkiem Dyrektorów jest już faktem dokonanym i czeka jedynie na rychłe zatwierdzenie ze strony ciał wykonawczych obydwu zreszeń. Wszystkie główne postulaty Z.A.S.P-u zostały w tej umowie utrzymane, w szczególności zaś stanowiący oś zatęgu postulat 12-miesięcznego sezonu. W tych warunkach należy się spodziewać, że ruchomienie teatrów, niepodlegających wogóle likwidacji (bo są i takie), będzie kwestją dni najbliższych, a sezon 1931-32 rozpocznie się z trzytygodniowym zaopóźnieniem.

Skoro w tygodniu ubiegłym teatry „świe towały”, nie było, oczywiście, i premier do zarejestrowania. Wyjątek stanowią warszawskie „Nowości”, gdzie odrazu osiągnięto porozumienie, i które — dzięki temu — nie przerywały pracy. Zainaugurovano więc nowy sezon pod dobrą gwiazdą nową operetką wiedeńskiego kompozytora R. Katschera p. t. „Błękitny Express”. Operetka ta, posiadająca melodyjną i oryginalną muzykę oraz wesołe, urozmaicone libretto, stanowi bardzo nowoczesny typ widowiskowy, jest bowiem połączeniem spektaklu operetkowego i rewijowego, a także całość może liczyć na powodzenie dzisiejszej, przyzwyczajonej do kalejdoskopu na scenie — publiczności. Powodzenie to jest tem pewniejsze, że kalejdoskopową zmienność i barwność reprezentują tak solidne siły, jak pp. Kulczycka i Orska, pp. Redo, Sempolński i Tatrzański.

Wśród grona współczesnych reformatorów teatru pod względem konstrukcyjno-architektonicznym stał się ostatnio głównym — twórca t. zw. teatru integralnego („Totaltheater”), Walter Gropius. Pomysły Gropiusa zdążają do takiej budowy sceny i widowń, by z jednej strony umożliwić wystawianie najbardziej skomplikowanych technicznie dzieł teatralnych, z drugiej zaś — osiągnąć maximum łączności pomiędzy aktorami i widowńnią zespalać ich we wspólnym przeżyciu dramatycznym. Widownia teatru Gropiusa w kształcie owalu, otoczona 12 kolumnami, obliczona jest na 200 miejsc. Na wierzchołku owalu, pomiędzy trzema kolumnami znajduje się scena trójdzielna, obejmująca niby kieszcami

pierwsze rzędy widzów. Takie urządzenie sceny pozwala na prowadzenie akcji bądź na jednej ze scen częściowych, bądź też na wszystkich trzech jednocześnie. W tyle, poza otaczającymi widowńnię kolumnami, na przedłużeniach bocznych scen znajdują się korytarze, biegnące około całej widowńi gdzie również na tym (t. zw. korytarzu) może się odgrywać akcja sceniczna. Proscenjum sceny środkowej tworzy wysunięta naprzód półokrągła płyta, wysunięta w głąb widowńi, co umożliwia aktorowi bezpośredni z nią kontakt. Gdy przy pomo-

cy specjalnego mechanizmu część parteru obróci się o 180 stopni, wówczas proscenjum utworzy okrągłą arenę pośród amfiteatralnej widowńi. Ale to wszystko; pomiędzy dla kilkunastu aparatów filmowych, które mogą działać ewentualnie równocześnie, wspomagając i potęgując akcję sceniczną. Tak oto w głównych zarysach wygląda teatr Gropiusa, oparty w pierwszym rzędzie na zasadzie t. zw. symultanizmu scenicznego.

DELTA.



Niedawno wykończony fronton wspaniałej świątyni Matki Boskiej Zwycięskiej przy ulicy Anny, ufundowana jej z ofiarności społecznej w podziękcie za ocalenie kraju od barbarji bolszewickiej.

Polska dola w Gdańsku.

Dusza dziecka kształtuje się w rytm pieśni matki w rytm modlitwy w i rytm otaczającego je życia, któremu przygląda się ogromnymi, zdziwionymi oczyma, a które chłonie całą siłą świeżego umysłu.

Pieśń matki, modlitwa i życie otacza duszę dziecka przedziwną cudowną trwałością, staje się jego pancernem, a w latach późniejszych najnielką pamiątką do której wraca zawsze z miłością i szczególnym mabożeństwem. Dzieciństwo pozostawia głębokie ślady na całym życiu człowieka, to też ochrona i opieka nad dzieckiem i jego wychowanie staje się ogromnie ważnym problemem szczególnie tam, gdzie dusza dziecka chłonie atmosferę niezdrową przesiągniętą chaosem najróżniejszych dążeń, zawiści, a nawet nienawiści. Duszę dziecka trzeba stamtąd wyrwać i umieścić tam, gdzie technicznie piękno, prawda i dobro, które na zawsze uchronią ją od deprawacji i wykołajenia.

Najsmutniejsze jest przecież, gdy dziecko zapomni mowy ojczystej i zaprzepaści wychowanie narodowe. Czuwać nad tem musimy, bo dusza dziecka raz stracona, nieprędko do nas wróci... Wychowanie narodu zacząć musimy od wychowania dzieci, które puzszone w życie z zasobem kultury narodowej, na zawsze ją zachowają. Zrozumiała to doskonale Gdańska Macierz Szkolna, budując ochronki dla dzieci.

Słyszą tam dzieci przecudowny dźwięk mowy polskiej i usypiają przy kołysance polskiej z słowami modlitwy polskiej... A w wyobrazniach ich snują się chrobre postacie królów, a śnią cudowne baśnie, a widzą one Lechy i Wandy i Mieszki... I szumi im fala o Polsce, co od morza do morza... A



„Piramidalne” świadczenia chłopców z G. Śląska na kolonjach letnich Zw. Obr. Kr. Zachodniach w Dzieńszynie pod Zgierzem.



Baraki — klasztor S.S. Dominikanek w Gdańsku.

widzą też miasto swe rodzinne, Gdańsk umiłowany, jako kiedyś było strażnicą Polski baczna na wrogi, w bojach twarzą oraz wierna, w szczęściu i nieszczęściu.

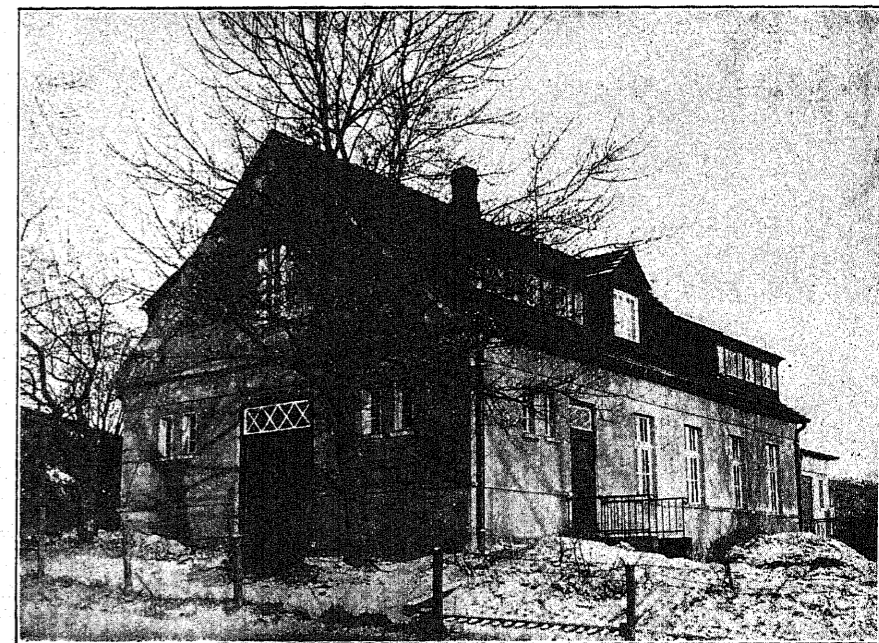
I budzi się w dziecku polska wiara i polska wielkość, co zwyciężonemu zwysięczą być każe. Żyje w cudownej harmonii słowa polskiego, co w nich jest i maokół nich, co staje się podwaliną ich kultury narodowej i zaczątkiem ich życia duchowego.

Tę miłoścyhanie zmułna, a jakże dopowiednia pracę w ochronkach podejmują z prawdziwym samozaparciem S.S. Dominikanek. One to dziecku polskiemu podają słowo polskiej, które ma biera tu znaczenia świętości narodowej. Niepomnie ma siebie, na trud, chłód choroby i niewygode, spełniają swe narodowe posłannictwo.

O warunkach, w jakich pracują, poucza nas umieszczony tu rysunek. Pomieszkaniem S.S. Dominikanek są zwykłe baraki drewniane, zbudowane w czasie wojny, przez Niemców, na składy żywnościowe, czy też na pomieszczenie dla koni.

Nie odpowiadają one nawet prymitywnym wymaganiom zdrowotnym i kulturalnym. Te niezdrowe warunki mieszkaniowe odbijają się na zdrowiu siostr, które z powodu zapadania na zdrowiu muszą często być zmieniane przez siostry, przybywające w kraju. Mimo wszystko wytrwale stoją na raz obrany posłannictwo i podtrzymują ciągłe znicz miłości ojczyzny, słowa polskiego i kultury polskiej.

... Gdańska Macierz Szkolna spełnia posłannictwo doniosłe, wielkie, święte, posłannictwo dziejowe, posłannictwo, które się zapisze w historii Narodu Polskiego zgłoskami ze spiżu i stali... Ale też przecież „Polska to jest wielka rzecz”!



Ochronka w Oliwie pod Gdańskiem.

Prorok radjowy przed 50-ciu laty.

Każdy skenkretyzowany wynalazek ma swoich poprzedników, przeważnie nieznanych nikomu, o nazwiskach zaświadczonych przez szczęśliwych następców, którym udało się zrobić majątek na zastosowaniu praktycznym danej nowości.

Do rzędu owych niesłusznie zapomnianych fantastów w dziedzinie wynalazczości należy pisarz francuski A. Robida, którego pomysły literackie przyjmowane były przez współczesnych z umiarem politowaniem jako fantazje nie do zrealizowania, a dziś wprowadzają w zdumienie, że już przed 50-ciu laty pomyślany został drobny gadżet, z licznymi szczegółami aparat radiowy, w założeniu niewiele odbiegający od obecnie istniejących.

W roku 1883 wyszła w Paryżu powieść Robidy pod tytułem „La vie électrique”, ilustrowana przez autora. Książka pisana była pod wpływem szeregu wynalazków genialnego Edisona jak telefon, żarówka, fonograf (prototyp obecnego gramofonu) i stanowiła rozwinięcie fantastycznie zapoczątkowanych przez słynnego Amerykanina nowości w dziedzinie techniki.

Należy podkreślić wszechstronność Robidy, który w swych fantazjach nie pominął ani jednego prawie z wówczas istniejących lub zapoczątkowanych wynalazków oraz smułki zupełnie nowe, własne pomysły. Przewody gazowe, telefony i telegrafy, poczta podziemna i pneumatyczna, samoloty wywiadowcze z połączeniem teleionicznym, lotniska na dachach domów, farmaceutyczne restauracje z posiłkami podawanymi pod postacią małych pigulek, wszystko to interesuje naszego pisarza i stanowi treść jego fantazji.

Pomiędzy różnymi nowymi wynalazkami przewidywanymi przez Robidę, spotykamy szereg aparatów, które śmiało uważać można za prototyp aparatów radiowych w obecnym tego słowa znaczeniu, aczkolwiek sposób realizacji przedstawiony jest przez autora dosyć metafizyczny. Zostały one rysowane, na których widzimy aparaty z kondensatorami, wtyczkami i głośnikami, jak również ich opis, nie pozostawiający wątpliwości, że chodzi tu o to, co dzisiaj nazywamy radiem.

W pierwszym rzędzie występuje w nich aparat, zwany „Musicophone” z dwoma głośnikami, mający za zadanie transmitować koncerty ze specjalnie zbudowanych sal muzycznych. Zapomocą przełącznika aparat łączył się z lokalnym, skąd nadawano komunikaty i wiadomości bieżące. Specjalny automatyczny przyrząd pozwalał na wyłączenie aparatu po pewnym dowolnym czasie, na przykład po zaśnięciu słuchającego (tego jeszcze obecnie nie wymyślono!), oraz łączył się z budzikiem.

Niektóre zagadnienia radiowe, nurtujące obecnie radiosłuchaczy były również aktualne w powieści Robidy, spotykamy tam bowiem humorystyczny obrazek, na którym widzimy radioamatora, włączającego olbrzymi głośnik, który swym rykiem przeżywa kilku gości.



W niedzielę dnia 13 b. m. odbył się w Łodzi I zjazd Sodalitacji Marijańskiej żeńskich szkół średnich z całej diecezji łódzkiej. Na ilustracji uczestniczki zjazdu wraz z duchowieństwem

Co jednak stanowi najciekawszą stronę pomysłów radiowych Robidy, to specjalne aparaty telewizyjne, połączone z normalnymi radiowymi, nazwane przez niego „aparataami teleskopijnymi”. Przy każdym aparacie radiowym widzimy na rysunkach dużą białą tarczę owalną, na której ukazują się kolejno różne obrazy. Powieściopisarz dał tu upust swojej fantazji, malując przeróżne humorystyczne obrazki, wynikające z zastosowania telewizji.

Więc przerażony mąż ogląda tancerz swą żonę, tajemność o potężnej tuszy, która prawemu kazaniu na temat niewierności małżeńskiej. Na innym znów obrazku wście-

kły pan zamienia się krzesłem w tarczę, na której postać kobieca drażni go niezbyt miłymi informacjami.

Szczytem zastosowania praktycznego telewizji u Robidy są zainstalowane na ulicy „kabiny telefonskopijne”, w których każdy za opłatą może połączyć się z inną osobą, posiadającą aparat telewizyjny i uciąć z nią pogawędkę. Jest to coś w rodzaju telewizyjnego radiotelefonu.

Słusznie więc można powiedzieć, że nie ma nic nowego pod słońcem” i że to, co wydaje się nam ostatnim wynalazkiem technicznym, dawno już pomyślone zostało przez pełnych fantazji powieściopisarzy.



Koło Młodzieży im. Marszałka Piłsudskiego przy Zjednoczeniu Narodowym Mocnej Polski. Siedzą od lewej ku prawej: p.p. kom. Rychter, prezes Z. N. M. P. Najder, wiceprezes Kustosik i patron koła prof. Jan Skoński.



Eugeniusz Krachulec — młody lecz utalentowany ciekawy i kolarski — wstąpił się ostatnią wycieczką do Mięza Polskiego zorganizowaną przez P. U. W. F. zdobywając I nagrodę (członek Ł. K. S.)



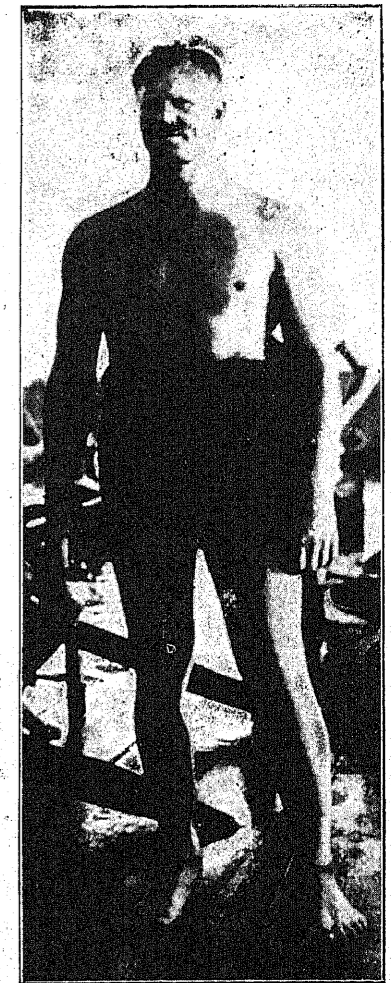
Kolarze: Hofsnajder i Bartoszek (Ł.K.S.) w towarzystwie kier. sekcji p. Pfeifra Józefa podczas odpoczynku po zdobyciu pucharu jubileuszowego, który widzimy na fotografii.



Król tenisa — Lacoste.



Grupa lekkoatletek warszawskich ćwiczy gimnastykę również na sali.



Trattowa i Kuncewicz — pierwsi rekordziści polscy w pływaniu, opuścili na zawsze szeregi zawodnicze. Kuncewicz dzierżył rekordy przez 5 lat i ustąpił dopiero Bocheńskiemu; Trattowa uległa Fitzównie i Krafczarównie.

FILMJA.

Zachwycano się głosem Ryszarda Barthelmessa w „Zaklętej rzece“, gra na harfie boskiej Corinna Griffith w „Królowej bez korony“ i piosenkami Laury La Plante w „Stabku komediantów“.

Lecz Richard Barthelmess wcale nie śpiewa ani nie gra na fortepianie. Zastępuje go w tem ktoś inny. Tak samo działo się z Corinną. Co do Laury, to „pomagały“ jej nawet dwie osoby: jedna grała na bano, druga — śpiewała.

Hollywood ma teraz swoich „zastępców“ przy śpiewie, jak dawniej bywali „za stępcy“ przy wszystkich karkołomnych scenach. Możliwe, że masza szczerność, nie przypadnie do smaku producentom filmów. Ale faktem jest, że Barthelmess oświadczył, iż nie ma zamiaru śpiewać w swych przyszłych filmach. „nie jestem ani śpiewakiem ani tancerzem“ — tłumaczył się — i „nie chcę występować w filmach, gdzie mam być jednym albo drugim“. A jednak Barthelmess będzie śpiewał. „First National“ podpisała kontrakt z panem Johnny Murrayem, który będzie zastępcą Barthelmessa w śpiewaniu. Murray w „Zaklętej rzece“ rozentuzjasmował cały zespół artystów. Dick ujął go za ramię i rzekł:

— Uważaj chłopcze, żebyś mi nie umarł nagle, nie dostał się pod samochód lub nie uciekł na wschód, bo byłbyś stracony bez ciebie.

Przy kręceniu Dick siedział zwrócony twarzą do publiczności tak, że nie było widać jego rąk, podczas gry na fortepianie, struny były pokryte filcem w ten sposób, że nie wydawały żadnego dźwięku, gdy uderzał w klawisze. Zaś Frank Churehill, pianista za sceną grał na fortepianie, alkom panując Johnny Murray'owi, który śpiewał. Mikrofon stał obok niego, zdala od Barthelmessa, który tak świetnie udawał, że gra i śpiewa, że ostatecznie wszyscy byli przekonani, że to robi.

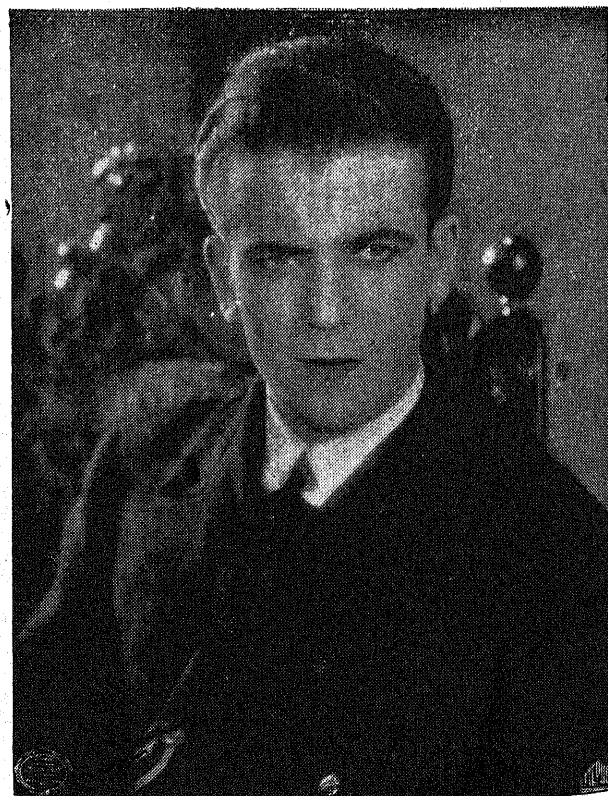
Inne kwestje, że Corinna musiała się za poznać z zasadami gry na harfie, a Laura z zasadami gry na bano, głównie — z układem rąk, ale obie miały pomocnice, czyli owe „dźwiękowe cienie“.



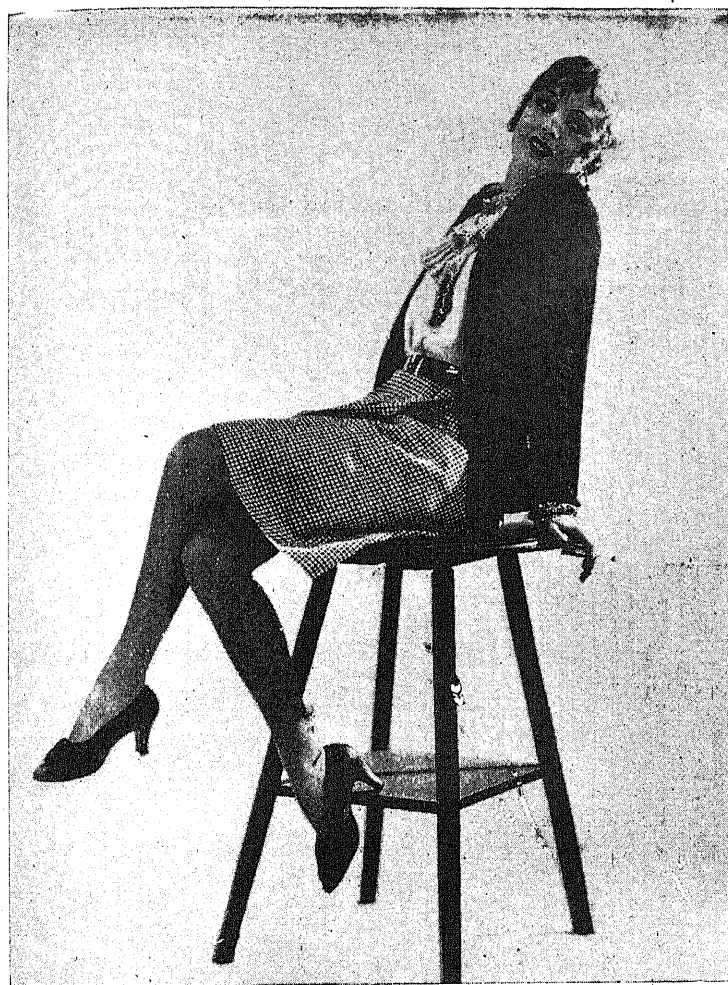
Norma Shearer.



Rozkoszna, figlarna, niezrównana Anny Ondra.



Amant filmu polskiego, Adam Brodzisz.



Pilkantna Mary Astor w swej najlepszej kreacji p. t. „Dziwczyną z pielką“.



Greta Garbo i Chester Morris w filmie „Natchnienie“.



Marja Corda.



Niezrównany komik sceny i ekranu polskie go — Adolf Dymisz z „Qui Pro Quo“.



Pelagia Relewicz - Zie mbińska, utalentowana artystka sceny łódzkiej.

TRUJĄCY KWIAT.

Słuchała z pochyloną głową i opuszczonymi oczyma, gdy przemawiał do niej, jak mówi się do chorych, rozkapryszonych dzieci, tonem łagodnej perswazyj, z poza której — w wypadku potrzeby — wyłonić się potrafi surowa stanowczość.

Blask oczu i czar spojżenia Lady Henryki Denham pokonywały już niejednokrotnie serce, bardziej odporne od tego, które biło w piersi majora Wengrave. Zawahał się na krótką chwilę, lecz z odpornością wojaka przewyciężył swój odruch i całkowicie oddany strategicznej misji, jaka go tutaj sprowadziła, ciągnął dalej swoją przemowę.

Sytuację przecięła sama lady Henryka. — Czy mr. Cartwright coś wie o pańskiej interwencji u mnie? — zapytała, nie dbając o szczegóły.

Tym razem major Wengrave zmieszany się widocznie. W swojej obawie o przyjaciela zapomniawszy o tym, że właściwie nie miał żadnego upoważniającego go prawa do prowadzenia spraw, które w pierwszej linii dotyczyły lady Henryki.

— Bo widzi pan — rzekła, jakby w uzupełnieniu rozpoczętej myśli — przed sprzedaż faktów? Nie poruszaliśmy dotąd żadnych zamierzeń na przyszłość i kto wie, czy to nastąpi...

— Czy to nastąpi? — myślała, pozostawiając samą siebie. Wczoraj jeszcze była tego pewna, lecz wizyta majora nasunęła jej poważne co do tego wątpliwości.

Ta interwencja zmieniła ją do poddania rewizji własnych zapatrywań, a poczęła ci także własnego życia.

Major Wengrave bowiem z ważną misją udał się do niej; prosił, by nie wstrzymała swego życia z życiem przyjaciela, a prośbę tę uzasadnił katastrofalnym wpływem, jaki osoba jej wywierała na przeznaczenie związanych z nią ludzi.

Tak poruszona kwestją wymagała rozpatrzenia.

Lady Henryka zamknięta w swym pokoju zagłębiła się w swej przeszłości, o której niechęć myśleć nie lubiła.

Była córką zubożałego właściciela ziemskiego, wychowana pomimo to w tradycjach komfortu, wysokiej stopy życiowej i odpowiednich do tego wymagań. Jako szesnastoletnia dziewczyna, zaręczona z młodszym synem parą, administratorem wielkiego majątku w sądziecztwie. Młodej parze chodziło o jak najszybszy termin ślubu i narzeczony jej w tym celu „zaryzykował“ cudze pieniądze w hazardowej grze, po to, by je przegrać i spłacić dług honorowy własnym życiem.

Było to na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Wrażenie ciszy, który zrazu przytłoczył Henrykę, zatarło się, szybko w huraganowym rozpędzie wypadków dziejowych. Wojna zeszała, w domu rodzinnym Henryki wywołała przewrót konzytyny, po dźwignąwszy materialne warunki jej życia. W domu zapanał spokój i dobrobyt i wszystko zdawało się układać jak najlepiej, gdy Henryka w trzecim roku wojny zarę-

czyła się znowu, tym razem z młodym lotnikiem armii powietrznej.

Badając dziś swoje uczucia, przyznać musiała z zupełną szczerością, że dla drugiego swego narzeczonego, jakkolwiek był piękny i młody i kochał ją do szaleństwa, nie czuła nic z pionierskich uczuć, jakie żywiła dla nieszczęśliwego samobójcy. Jednak i te miały przedko. Nie było zatem nic dziwnego, że przebiec mogła także śmierć bohaterkiego pilota, która nastąpiła podczas lotniczego wywrotu nad nieprzyjacielskim frontem.

Po skończonej wojnie zmienił się tryb życia przyniosły jej tyle nowych i silnych wrażeń — że nigdy nawet nie miała czasu na zastanawianie się nad tragiczną zbliżnością obu faktów swego życia.

Pojęła dziś, choć nie widziała tego dawnej, że zastanawiali się nad tem inni. Bawiem, jakkolwiek otaczano ją, wielbiono, podziwiano, a nawet kochano się w niej, ponieważ uroda jej była istotnie niezwykła, do dwudziestego ósmego roku jej życia nikt nie pokusił się o zdobycie jej ręki. I dlatego oczekiwankę nieświadoma istotnej przyczyny tego braku powodzenia — zgodziła się dość skwapliwie, gdy oświadczył się o nią lord Denham, choć był o ćwierć wieku od niej starszy.

W związku tym czuła się bardzo — szczęśliwa. Lord Denham był człowiekiem rzadkiej szlachetności, a pięknej i ubóstwa jej małżonka mógł dać wszystko, co składa się na zewnętrzny urok życia.

Przywiązała się do niego szczerze i opłakiwała długo, gdy zginął w wypadku samochodowym w dwa lata po ślubie. Niezależnie, bogata, pędziła po jego śmierci życie odosobnione, zamknięta niemal, bardziej strapiłona stratą sędziwego małżonka, niż cibu młodościowych kochanków wiosniących lat.

Nigdy jednak nie przyszło jej na myśl upatrywać w tej trzęsawicy katastrof ostatniego ognia łachucza zdarzeń, spowodowanych jej własnym, zgubnym fluidem, o którym tak wymownie głosił major Wengrave, prosząc zarazem o ostrzeżenie przyjaciela — Cartwrighta, świeżo przybyłego z Indji i nieświadomego „uroczonych“ własności lady Henryki.

W umyśle lady Henryki wysunęła się konieczność zbadania zapatrywań Cartwrighta. Działo się tak tem bardziej, że Cartwright, był jak dotąd jedynym człowiekiem, który wskrzesił w niej coś z dawnej zapachu młodości.

Teraz jednak obudziło się w niej uczucie lęku: a jeżeli istotnie los uczynił z niej poprzednie swojej złościwości, wypełniając ją w jakiejś dziwnie pomyśle swojej złowrogięj fatality: ku zgubie tych, co życie swe łączą z jej życiem?

Zdecydowała poradzić się Cartwrighta, a ponieważ chodziło właśnie o ostrzeżenie jego osoby, należało zrobić to dyplomatycznie.

Sposobność nadarzyła się niebawem. — Już na samo brzmienie tego miłego, ciepłego głosu lady Henryka poczuła jak drogą stał się jej człowiek, którego — może — wyrzec się będzie musiała.

— Damo mi w tych dniach trudne zadanie do rozwiązania, — zaczęła lady

Henryka: — Może mi pan dopomoże... Pisała do mnie przyjaciółka — — — —

I pod tą obłotką lady Henryka bez namysłu podała własną historję z jej ostatnią komplikacją uczuciową. — Włęcz jak pan myśli? — dodała na zakończenie, zajmując miejsce w fotelu trzcinowym, tyłem do światła, by w cieniu rozkłęszanej palmy ukryć wzruszenie oczekiwanu. — Czy ulec przesądowi, zabobonemu lekowi?

— Nie. Niewątpliwie nie, — rzekł Cartwright.

Odechnęła z ulgą.

— Mam na myśli mężczyznę, — dodał po krótkiej pauzie Cartwright, przysuwając drugi fotel dla siebie. — Co do kobiety jednak, zastanawia mnie jej psychologia. Żyłła oto, nieświadoma tragicznej zbliżności faktów w swem życiu, ślepa na opinie ogółu, upatrująca w niej trujący kwiat, którego zapach się zagłębł. — — — —

Poetyczne porównanie — — — — próbowała zażartować lady Henryka.

A jednak najbardziej właściwie: kwiatka, czarowała, żyła, budziła uczucia, wdziała śmierć — zginął jeden po drugim i znowu nieczuła uczucie — bezmyślna, młodszy wrażliwa jeszcze od kwiatu, który wiednie, gdy padnie mań technię mrozu. Bezmyślna — obojętna — trujący kwiat naprawdę — — — —

— Ale teraz przecież obudziła się do życia, skoro powstały w niej skrupuły, lęk i trwoga...

— O co? O człowieka, którego kocha czy o siebie? Gdyby jej chodziło o tego człowieka, nie zasięgałaby niczyjej rady nawet jego własnej... Bo któryże to kochanek uleknął się takiej groźby? Jak pan sądzi? Czy znajdzie się taki? Chce ona pogrozić zawczasu zrzucić odpowiedzialność na tego innego, by w jakim wypadku — by móc powiedzieć: ostrzegłam go... Ale dość o tem. Chce obecnie pomówić z panią o sobie — — — — o nas.

Wyciągnęła rękę.

— Nie dłoń, — rzekła. — Jestem także przesadna — — — — Niech mi pan tylko na jedną odpowie — — w tej poruszanej poprzednio kwestji. — — — — Gdyby to pan był tym wybranym człowiekiem, czy lekkałbyś się śmierci?

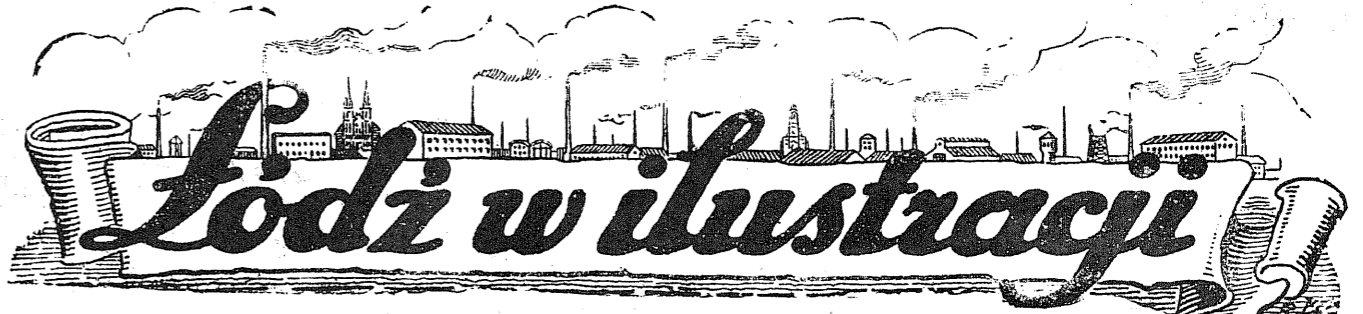
— Nie lekkałbym się jej napewno. Bałbym się jednak tej kobiety: aiezkolwiek nie wierzę w jej złowrogię sily, jestem jednak przekonany, że dla swej ochłidości serca jest naprawdę „trującym“ kwiatem.... Lecz mniejsza o nią... Kiełdy?

— Nie wiem jeszcze, — uśmiechnęła się lady Henryka wargami złodowicami pod smarką.

Następnego dnia major Wengrave w pozie ciału odebrał list następującej treści: Szanowny Panie,

Może pan być zupełnie spokojny o swego przyjaciela. Nie zobalczę go więcej, ponieważ na czas dłuższy wyjeżdżam na kontynent. Tymczasem zechce go pan zawiadomić o moim wyjeździe słowami, które tutaj kreślę: „Trujący kwiat nie chce być zgubą dla jedynego człowieka, którego życie jest mu naprawdę drogie“. Ufam, że pan wypełni moje zlecenie, a wzamięm zapewniam go, że moje postanowienie jest nieodwołalne.

Henryka Denham.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJE RA ŁÓDZKIEGO“.

Rok. VII.

Niedziela, 27 września 1931 roku.

Nr. 39.



Na służbie Iskara.



W dniu 20 bm. otrzymie lotnisko w Lublińku załudniło się. W dniu tym, odbyła się tam uroczystość zakończenia II Centrum P. W. Lotniczego oraz poświęcenie budynku Szkoły Pilotów Łódzkiego Klubu Lotniczego. Na zdjęciu widzimy uczestników uroczystości z J. E. ks. biskupem dr. Tymienieckim, wojewodą Jaszczółtem, pułkownikiem Rayskim, szefem lotnictwa polskiego starostą Rzewskim oraz z przedstawicielami władz wojskowych na czele.

Fot. A. Meyer. Tel. 106-81